

Lema nie ma mamy memy Lema

"Nie można uwierzyć w Pana Boga tylko dlatego, że to nam dobrze zrobi".

Stanisław Lem

Nastolatki lubią mieć swoich idoli. Od czasu wczesnej nastolatkowości moim idolem był Stanisław Lem. Rozumiem, że się o to złościł. To znaczy znacznie później zrozumiałam, jak bardzo go musiało denerwować, że miał już wśród dzieci swoich wielbicieli, bo przecież pisał dla dorosłych, a nawet dla bardzo dorosłych. Choć po jego śmierci zastanawiano się na poważnie, czy trafi do działu „wysoka filozofia” czy do popularnych książek dla młodzieży, co przytrafiło się Juliuszowi Verne’owi, H.G. Wellsowi i innym.

Ja jednak uważam to za swoje wyjątkowe szczęście, że Lem napisał u początków swojej kariery pisarskiej kilka dość banalnych książek z dziedziny *science fiction*. Dzięki temu i te trudniejsze, z półki *high science philosophy*, stawały się dla mnie, wraz z moim czytelniczym wzrastaniem, nie za trudne. Inna sprawa, że już do tych pierwszych byłam nieźle przygotowana, oczywiście jak na jedenastolatkę: Verne, Wells, "Wielka, większa i największa" Broszkiewiczza, "Zwycięzcy oceanu" Umińskiego, "Robinson Crusoe", "Hrabia Monte Christo", "Podróże Guliwera", "Iliada i Odyseja", "Kandyd", "W pustyni i w puszczy", "Dzieci z Bullerbyn", "Tajemniczy ogród", "Karolcia", "Serce", "Pinokio", "Kubuś Puchatek", "Alicja w krainie czarów"..., w ciągu tych kilku lat, odkąd posiadałam sztukę czytania, do sięgnięcia po tytuły Lema, byłam całkiem całkiem czytana, nieprawdaż?

Kraków, Cmentarz Salwatorski, wtorek, 4 kwietnia 2006, godz. 12:00. Na pogrzebie Lema w pierwszym momencie nie zauważyłam, że pośród wieńców i kwiatów... nie ma trumny. Mała jak donica urna ledwie widoczna była pomiędzy liśćmi, kwiatami, wśród szarf... ach, prawda, przecież Lem był niewierzący, kremacja, dla katolika rzadkość, grzech chyba nawet, dla ateisty rzecz coraz normalniejsza, może sobie zażyczyć bez konfliktu sumienia. Ale pogrzeb był w obrządku katolickim, w nowiutkiej kaplicy na Cmentarzu Salwatorskim... "Lem nie wierzył w Boga, ale kto wie, może Bóg wierzył w Lema?", ksiądz odprawiający mszę żałobną był sympatyczny, życzliwy, przyjazny. Dominikanin o. Jan Andrzej Kłoczowski mówił bez kaznodziejskiego zadęcia, mądrze, zwyczajnie.

Spojrzałam w górę, na sklepienie kościoła... bo jak się szuka czyjegoś ducha, patrzy się odruchowo w górę, choćby i duch kwalifikował się do piekła, czyli w dół. Duch jest bezcielesny, prawie nic nie waży, a może 21 gramów, jak twierdzą niektórzy? Jak w filmie o takim tytule? W każdym razie jest lekki albo wręcz nieważki, wlatuje w górę i spogląda w dół. Czy Lem teraz patrzy na nas? Na swój pogrzeb? Zanim uleci w zaświaty? Czy będzie czasami wracał, żeby spojrzeć na Kraków i swój dom z ogrodem? I jak rośnie jego wnuczka? Jak się ma syn, Tomek? Żona, którą zostawił?

<https://www.youtube.com/watch?v=Z2DMjuIrYJ4>

Nie! Lema nie ma! To co z Lema zostało, zmieściło się w naczyniu wielkości garnka. Mam tej samej wielkości urnę z prochami mojego poprzedniego psa, Parysa. Doczesne szczątki, spopielone kości, ale nie na proch, grzechoczce, jak nią potrząsnąć. Lem tak często podkreślał, że uważa wszelkie życie za kończące się definitywnie z chwilą

śmierci, że chyba byłby wręcz rozczarowany, gdyby tak nie było i gdyby po śmierci przyszło mu się o tym przekonać. Myślę też, że nie miałby mi za złe porównania urny mojego psa do swojej, skądinąd wiadomo, że kochał psy i miał ich kilka pokoleń. Acz, przyznać trzeba, że urna Lema była o wiele bardziej elegancka, ozdobna, z ciemnego metalu... z czego robi się urny? Z jakiego stopu? Z mosiądzu? Brązu? Parysa jest prosta, jasna, gliniana. I zaplombowana. Jak właściwie zamykane są ludzkie urny? Na amen?

Lema nie ma. Mojego psa - też nie. Ale byli. I mieli fajne życie. Parys na pewno. I Lem, jak się wydaje, też niegorsze. Lema nie ma, lecz po Lemie bardzo wiele zostało, tak jak i po Parysie, tyle że po Lemie więcej. Kilka milionów książek w prywatnych i publicznych bibliotekach dookoła globu. Jego własnego autorstwa. I licznych opracowań, i opracowań opracowań, a te jeszcze mogą się mnożyć a mnożyć. Lem nie napisze już ani jednej książki, ale wydawany może być po wsze czasy. Zostało wiele zdjęć. Trochę filmów. Artykuły w archiwach różnych polskich i zagranicznych pism. Wywiady. Taśmy z nagraniami wywiadów... Sama mam kilka. Bo moje uwielbienie dla Lema zaowocowało paroma rozmowami (po polsku i, co zabawne, też po niemiecku). Głos Lema jak żywy, jakby siedział obok.

Jestem także w posiadaniu jednego listu od Lema. W którym wyjaśnia, że w czasie wywiadu, jako że nie czuł się dobrze, nie powiedział tego, co by powiedział, gdyby miał jeszcze raz szansę, więc napisze to teraz sam. I napisał. Esej pod tytułem "Sex Wars". To moje wspomnienia, skromne *memories* na miarę małego Pikusia, ale jakże jestem z nich dumna, jak bardzo wzbogaciły moje życie, mogę o nich pisać. Choćby teraz. A przecież są tacy, którzy widywali się z Lemem wielokrotnie, na co dzień, jak na przykład jego osobisty sekretarz, autor opracowań o twórczości swojego pracodawcy, prof. Jerzy Jarzębski, jak autor "Rozmów..." Stanisław Bereś, który przesiedział u Lema wiele, wiele godzin... Ciekawe byłoby wiedzieć, ilu ludzi Lema znało, spotkało, lub choćby zetknęło się z nim bliżej. A niezliczeni dziennikarze, a tłumacze na 40 języków świata, a studenci, a sąsiedzi, a przyjaciele wreszcie, a rodzina, najbliżsi mu ludzie... Mnóstwo listów, rozmów, spotkań. Oraz mrowie czytelników.

Po Lemie zostało więc, oprócz genów, bardzo, bardzo wiele memów. Będą się nadal rozprzestrzeniać. Zmieniać ludzi. Zmieniać świat. Żyć. Ale świadomości Lema już nie ma. Dla samego Lema, którego świadomości już nie ma, nie ma to już żadnego znaczenia. Nie może nadlecieć, spojrzeć z nieba i nacieszyć się swoim istnieniem pośmiertnym. Więc zamiana wiary w życie pośmiertne w niewiarę, a więc nicość, jest bardzo wątpliwym interesem. Z jednej strony istnienie świadomości po wieczność, z drugiej pamięć o nas i nasze dzieło. Ale w chwili śmierci - dla bohatera wydarzenia - kończy się wiedza o tym. Tylu ludzi wybiera to pierwsze. I dziwi się, że ktoś może to odrzucić. I to świadomie. Jak na przykład Lem. Przecież o wiele lepiej się żyje ze świadomością, że po śmierci będzie się żyło nadal. Coś się teraz nie uda? Ale potem będzie rekompensata. Czegoś teraz nie dokonamy? Nadrobimy w życiu wiecznym, czasu będzie dość.

<https://www.youtube.com/watch?v=H2FrJV-0FDM>

Stanisław Lem zwykle mówił o sobie, że jest agnostykiem, czasami podkreślał, że jeżeli chodzi o bogów, to jest ateistą, a ateista żadnych wątpliwości nie ma, to ktoś, kto odrzuca wiarę w Boga. Jakiegokolwiek. Jednak bycie agnostykiem ma różne odcienie i jest to zgoła inne ustawienie sprawy. Agnostyk nie wierzy w Boga, ale też nie do końca wierzy w możliwość naukowego poznania. Więc ludzie mówią, że agnostyk jest ostrożny. Albo wręcz lękliwy. A ja mówię, że tylko otwarty. Od wątpliwego "wiem", wolę pewne "nie wiem".

Bo i ja jestem agnastykiem. Czy na wzór Lema? Tego też nie wiem. Ale na pewno, jak wielu innych zakochanych w Lemie, mogę o sobie powiedzieć, że to Lem mnie "wychował". Inna sprawa, że miał ułatwione zadanie, bo mój tato był zdeklarowanym niewierzącym, a mama ledwie, ledwie, typ: "praktykująca na użytek rodziny z dużym zastrzeżeniem". Dzieci, cztery córki, wyrosły jak jedna na bezbożne. Na lekcje religii chodziłam na własne życzenie. Ani mnie nie nakłaniano, ani nikt mi nie zabraniał. Jestem ochrzczona, choć na chrzcie świętym dano mi imię Ewa. Tato w USC postawił na swojego faworyta, Elżbietę, jakoś nie widział w tym problemu. Poszłam do pierwszej komunii. W kościele Piotra i Pawła w Krakowie.

W tym samym, w którym w lutym 1954 roku 33-letni Stanisław Lem, ateista-agnostyk, brał ślub ze studentką medycyny, Barbarą Leśniak. *"W przeraźliwie zimnym kościele wypowiadaliśmy słowa przysięgi, nieomal szcękając zębami"*, opowiada Beresowi, i dodaje: *"Przez pewien czas byłem zresztą mężem tramwajowo-dojżdżającym, ze Śląskiej na Sarego, gdzie żona mieszkała wraz z siostrą..."* (do 12 roku życia i ja mieszkałam na Sarego, o dwie kamienice od sióstr Leśniakówien; w kwadracie Sarego, Waryńskiego, dziś św. Gertrudy, i Starowiślnej mieszczą się ogrody sióstr urszulanek).

Lem w ogóle miał liczne kontakty z księżmi i kościołem, pisywał do *Tygodnika Powszechnego* (z różnymi przygodami zresztą): *"Chętnie pisuję do Tygodnika, bo mogę w nim wypowiadać rozmaite koncepcje, zarówno te, które się episkopatowi podobają, jak i te mniej strawne dla hierarchii kościelnej. Faktem jest również, że chyba przyciągam niektórych księży, szczególnie tych, co się dziwią, że będąc prawie ateistą lub, jak kto woli, agnastykiem, żywię różne imperatywy moralne, których nie można podczepić pod transcendentalną sankcję. Stąd często mam z nimi korespondencyjne kontakty"*, mówi dalej. Jego wnuczkę chrzcił ksiądz Adam Boniecki, redaktor naczelny *Tygodnika* od śmierci Jerzego Turowicza w 1999 roku. Co nie przeszkadzało Lemowi mówić o sobie: *"Przeciwko religii nic nie mam. Raczej przeciwko Kościołowi, bo jestem heretyk i antyklerykał"*.

W wieku 12 lat byłam bierzmowana. W bieńczyckim baraku pod Krakowem z ogromnym krzyżem u boku; kiedyś miał się stać słynną Arką. Bierzmował mnie biskup krakowski Karol Wojtyła, kiedyś miał się stać... wspominam to bardziej jak sen, biskupa jak przez mgłę. Za to imię wybrałam sobie sama, jak najbardziej świadomie, i to pamiętam doskonale: Helena, imię mojej mamy. I imię Heleny trojańskiej. W domu mieliśmy ebonitowy projektor filmowy, dziś coś jak dinozaur, przesuwano się ręcznie klatka za klatką. Od małości nie mogłam się dość naoglądać filmu o podróżach Odyseusza i jego wesołej kompanii. Film - a potem dzieła Homera - znałam prawie na pamięć. Włoski film fabularny "Piękna Helena" z prześliczną Rossaną Podestà (i młodzieńką Brigitte Bardot) oglądałam wtedy raz za razem. Byłam poganką, wierzyłam w wielu bogów.

Aż któregoś dnia, wkrótce potem jak "zostałam" przedchrześcijańską Heleną, wyrosłam z wiary w bogów, naturalnie i bezboleśnie. Jak z dziecięcych sukienek. Jak z gry w klasy. Jak z małego rowerka. Jak kilka lat wcześniej ze świętego Mikołaja. Odtąd lubię wiedzę o nich. Nie mam ślubu kościelnego, choć miałam trzy śluby. Nie chodzę do spowiedzi od 14-go roku życia. A i przedtem uważałam to raczej za zabawę niż naprawdę, to spisywanie grzechów na kartce, ta ścisła konspiracja, bo ktoś może zajrzeć, porównywanie pod przysięgą milczenia z kartką przyjaciółki od serca: *"Ach, o tym zapomniałam! Czy zjedzenie podwójnego lodu to już ciężki grzech obżarstwa, za który pójdziemy do piekła? Czy lżejszy na miarę czyśćca? ...Wpiszę jak ty, bo jak już, to chcę tam być razem z tobą!"* ...A myśli nieczyste...? O, nie! Te są moją prywatną sprawą! Dość tego! Mam to jakiemuś obcemu facetowi opowiadać?

Na wysokości siódmej czy ósmej klasy mama położyła przede mną "Boską Komedie" Dantego: "Każdy człowiek z wykształceniem podstawowym powinien to znać", powiedziała - pamiętam jak dziś - z lekkim przekąsem, odsuwając mi sprzed oczu "Złego" Tyrmanda, bo w nim się właśnie zaczytywałam, a mama uważała to za zły pomysł. No, i, oczywiście, zaczytywałam się w Lemie. Lem może o tym nie wie, ale dziewczyna, która go czytała, cieszyła się szczególnym poważaniem u chłopaków. To tak na marginesie. Lemem się zachłystywałam. I żeby się w zaświatach na mnie nie złościł, dodam na usprawiedliwienie, że im większymi łykami, z tym mniejszym zrozumieniem. Gdy potem do tych pierwszych przeczytanych książek Lema czasami wracałam, to mi się oczy otwierały, jakie to było po łebkach czytanie. I tak mam do teraz. Lem jest niezgłębiony.

W liceum zaczął mi się krystalizować światopogląd, choć wtedy tego tak naprawdę nie wiedziałam. To się samo działo. Dużo czytałam. Lema między innymi. Nadal chodziłam na lekcje religii. Po dwóch latach w Hucie znowu do sióstr urszulanek. Wyprosiłam to u rodziców, bo przed przeprowadzką mieszkaliśmy o ulicę dalej z widokiem na ogrody warzywne sióstr, a z Nowej Huty miałam daleko. Bardzo lubiłam klasztor ss urszulanek, starą krakowską kamienicę z ciężką bramą przy ulicy Bohaterów Stalingradu; w domu używaliśmy dawnej nazwy, Starowiślna, dziś historia zatoczyła koło i znowu jest Starowiślna, choć mnie się uparcie ciśnie na język Bohaterów Stalingradu. Lekcje religii u sióstr były bardzo zajmująco pomyślane. Dużo historii początków chrześcijaństwa. Pamiętam nawet i to, jak jedna z naszych sióstr-wykładowczyń powiedziała, że nie ma historycznych dowodów na istnienie Jezusa, ale na pewno kiedyś będą. I że Jezus, jeśli już, to urodził się na kilka lat przed naszą erą, czyli własnymi narodzinami, co mi się z trudem pomieściło w głowie... Mimo to mam świadectwo ukończenia nauki religii na poziomie maturalnym.

Równocześnie czytałam wtedy też Simone de Beauvoir, chodziłam ubrana w czarny płaszcz do kostek - w reakcji na modę mini przyszła moda maxi, kombinacja mini z maxi była nowością - i, gdyby mnie ktoś zapytał, miałam się za ateistkę-egzystencjalistkę-feministkę. Ale nikt mnie nie pytał, świat wtedy ogarniała coraz bardziej fala *hippi* z hasłem *Make Love Not War*, czerń lat 50. ustępowała miejsca kolorowym spódnicom i zwiewnym przezroczystym bluzkom noszonym bez staników, niektórzy nawet po mieście chodzili boso... Przeciekało to i do Polski cienkimi strumyczkami, a kiedy w 1974 roku znalazłam się w Szwajcarii, wpadłam w sam środek ogrodu pełnego "dzieci kwiatów". Pod względem światopoglądowym nastawionych na odrzucenie wszystkiego co pochodziło od rodziców a poszukujących tego co nowe.

Nowe były zwłaszcza inne, egzotyczne religie. Część ludzi ruszała do Indii, część do Ameryki Południowej... Wracała "nawrócona", "oświecona", "uduchowiona". Najpierw zespół bożyszcze - *The Beatles*, w ślad za nim kochająca go młodzież. Beatlesi medytowali w Indiach z joginem Maharishi Mahesh, inni znajdowali sobie swoich innych guru. "Poszerzano sobie świadomość" różnymi specyfikami z LSD na czele i marihuaną w ogonie. Wszystko to było fascynujące a piosenki z tamtych lat - naprawdę niezapomniane koncerty - to dziś klasyka, wiadomo. Dla mnie fascynujące było przyglądanie się temu. Bez chęci wsiąknięcia, bez narkotyków, importowanych w plecakach bogów. Teraz myślę, że zawdzięczam to Lemowi. Lem mnie uodpornił. Był agnostykiem-sceptykiem, no, i był moim *guru*. Byłam już zaimpregnowana Lemowymi memami. I były ze mną tak zintegrowane, że żadne inne nie mogły ich wyprzeć, ani wchodzący w modę *New Age*, ani parę lat później wchodzący na tron Piotrowy "nasz Papież", choć przecież mnie bierzmował.

Sam Lem o wpływie na swoich czytelników mówił z charakterystycznym dla siebie przekąsem: "*Jestem starym człowiekiem posiadającym mikroskopijną ilość złudzeń. Zdaję sobie sprawę, że sposób, w jaki książki 'załamują' się w umysłach odbiorców, jest nieprzewidywalny, i ogromnie rozbieżny względem moich naiwnych autorskich oczekiwań*". We mnie jęgo słowa "załamywały" się w ten sposób, że interesowała mnie matematyka i fizyka

(matematykę nawet zaczęłam na uniwersytecie zuryjskim studiować), ale też wszelkie nowe trendy w nauce i myśli współczesnej. A że na Zachodzie miałam dostęp do wszystkich wydawanych tam książek, toteż na książkę, która uczyniła Richarda Dawkinsa tak sławnym, "The Selfish Gene", trafiłam od razu.

W pierwszych słowach przedmowy autor zapowiadał: *"Tę książkę należałoby czytać niemal tak jak powieść fantastyczno-naukową. Ma ona bowiem przemawiać do wyobraźni. Jej tematem nie są jednak naukowe fantazje, lecz sama nauka. Powiedzenie, że 'prawda jest bardziej niezwykła niż fantazja' jest może banałem, ale całkowicie się z nim zgadzam. Jesteśmy oto maszynami przetrwania (survival machines) - zaprogramowanymi zawczasu robotami, których zadaniem jest ochraniać samolubnych cząsteczek, zwanych genami. Prawda ta wciąż napawa mnie zdumieniem i chyba nigdy nie przestanie, choć znana mi jest od lat. Mam jedynie nadzieję, że przynajmniej część tego zdumienia zdołam przekazać innym"*.

Dzięki Lemowi, bo jestem pewna, że to właśnie dzięki niemu, Dawkins przekazał swą wiedzę i mnie. Wiedzę o memach. Dziś już chyba każde dziecko wie, coż to takiego "mem", ale wtedy czytało się ze zdumieniem, że o ile replikatorami materiału chromosomalnego, cząstki DNA, jest gen, a do jego *characteristica* należy długowieczność, o tyle "materiał kulturowy" też jest przekazywany w czasie i także podlega nieznacznym przeinaczeniom. I tym samym Dawkins powołał do życia "mem", to znaczy odkrył go, zdefiniował: *"Sądzę, że nowy rodzaj replikatora pojawił się właśnie na tej planecie. Co więcej, spotykamy się z nim twarzą w twarz (...) pod względem osiąganego tempa przemian ewolucyjnych zostawia stare, zdyszane geny daleko w tyle. (...) Dla nowego replikatora potrzebujemy nazwy, która zawierałaby pojęcie jednostki przekazu kulturowego..."*.

Tak narodził się wielki mały MEM. Autorem pojęcia jest więc Richard Dawkins, oto jak opisuje memy: *"Przykładami memów są melodie, idee, obiegowe zwroty, fasony ubrań, sposoby lepienia garnków lub budowania łuków. Tak jak geny rozprzestrzeniają się w puli genowej, przeskakując z ciała do ciała za pośrednictwem plemników lub jaj, tak memy propagują się w puli memów, przeskakując z jednego mózgu do drugiego w procesie szeroko rozumianego naśladownictwa. Jeśli naukowiec przeczyta lub usłyszy jakiś dobry pomysł, przekazuje go kolegom i studentom. Wspomina o nim w artykułach i na wywiadach. O propagowaniu się nośnej idei można powiedzieć wtedy, gdy przenosi się ona z mózgu do mózgu"*.

Tak to w roku 1976 mem ujrzał świat a świat dostrzegł memy. Jednak rozprzestrzenianie się memów o tym, że jest takie pojęcie jak "mem" nie wszędzie następowało z jednakową szybkością. Hamowała je na przykład "żelazna kurtyna". Za którą mieszkał Lem. I utyskiwał, że ma utrudniony dostęp do wiedzy: *"są na pewno na świecie książki, które bez wątpienia mogłyby mnie w skuteczny sposób poinformować i zapłodnić"*. Lub przeciwnie, idee Lema mogły się być szybciej rozprzestrzeniać, gdyby nie różne czynniki hamujące, na przykład polityczno-gospodarcze "kurtyny". Lem bowiem, podobnie jak wielu prekursorów różnych pomysłów, o których słuch wszelki zaginął, jak choćby mało znany biolog i przyrodnik Alfred Russel Wallace, który tuż przed Darwinem sformułował teorię o ewolucji gatunków, też, podobnie jak Dawkins, dostrzegł, że to gen jest ważniejszy od jego nosicieli.

Lem zwierza się ze zbieżności swojego pomysłu z ideami Dawkinsa Beresiowi i narzeka: *"...koncepcja, którą wygłosiłem w pierwszym wykładzie..."*.

Lem w roku 1981/2 skarży się, że nie dotarł jeszcze do słynnej książki Dawkinsa z roku 1976, ale w moim

odrębnym życiu czytelnika obu panów mogę odnotować ciekawe zapętlecie czasowo-memowe: dzięki memom Lema sięgnęłam po Dawkinsa i dowiedziałam się o istnieniu/zdefiniowaniu memów wprost z książki Dawkinsa na parę lat przed Lemem. Dziś* jest 12 września 2007. Tego dnia w roku 1921 we Lwowie - zabawnym zbiegiem okoliczności z niemiecka zwanym Lembergim, "górną Lema" - przyszedł na świat Stanisław Lem. Gdyby nadal żył skończyłby 86 lat. Ale od półtora roku nie żyje i jest mu to doskonale obojętne. Czy zresztą o kimś, kto nie żyje, można powiedzieć, że jest mu coś obojętne? Jakiemu "mu"? Jakie "obojętne"? Lema nie ma i dlatego nie ma też być komu obojętne, że go nie ma. Natomiast absolutnie nie jest obojętne - światu - że Lem "naprodukował" aż takiego zatrzęsienia memów. Lem nie tyle nie wierzył w życie pozagrobowe, ile wiedział, że takiego czegoś zwyczajnie nie ma.

Wkrótce po 80. urodzinach, obchodzonych w Wydawnictwie Literackim właściwie w wigilię urodzin, czyli dokładnie w dzień ataku na WTC, czyli w nastroju minorowym, Lem powiedział w wywiadzie udzielonym dziennikarce *Przeglądu* Ewie Likowskiej: *"Jeśli chodzi o nieśmiertelność, nie może to być ludzki przywilej. W moim przekonaniu, po śmierci nie ma nic. Jestem niewierzący. Jestem z wykształcenia lekarzem, znam biologię. Widziałem wiele razy, jak 'duch' ulatnia się z człowieka w miarę zanikania odcinków kory mózgowej. Nie wierzę ani w duszę nieśmiertelną, ani w raj, a opowieści o tym, że bliscy patrzą na nas z zaświatów, są dobre dla dzieci. Wszystko ma swój początek i koniec. Ten schemat dotyczy gwiazd, w tym i naszego Słońca, ale także życia człowieka. Z tego wniosek, że po śmierci będzie ze mną to samo, co przed moim narodzeniem, czyli nic. I nie uważam, żeby to był powód do zmartwienia"*.

Banałem jest stwierdzenie, że po człowieku zostaje jego dorobek, to wie każdy. Nie jest jednak banałem, że każdy, kto wierzy w życie pozagrobowe, komu wydaje się, że wiara w coś, to więcej, niż wiedza, że nic, robi "kiepski interes". Bo wiedząc, że życie jest bezwzględnie ograniczone, czyni życie naprawdę bezcennym i wartym przeżycia. Wtedy dopiero ma się powód do zostawienia po sobie jak największej ilości jak najlepszych memów - po Lemie zostały ich całe nieba: *"Wiem naturalnie, że ogromna większość tego co napisałem, i napiszę, ulegnie anachronizacji i punkty ciężkości przeniosą się w przyszłym odbiorze. Ale też liczę na to, że nie wszystko zostanie unieważnione i wygaszone jako iluzja oraz ogromne nieporozumienie, ponieważ uważam, że nie wszystko, co wiemy, jest chwilowe i przemijające. Gdyby bowiem tak było, to nic w sposób trwały nie pozostałoby własnością ludzi"*.

*

Tekst napisany pierwotnie na portal racjonalista.pl 12 września 2007 i opublikowany 17 września 2007, tam też są komentarze, na które odpowiadam, mój nick to ellubis. Wedle najnowszej wiedzy Lem urodził się 13 września, ale że 13 to liczba pechowa, szczególnie w judaizmie, w dokumentach zarejestrowano urodziny dziecka o jeden dzień wstecz.

Przypisy:

[1] W czasach, o których mówię, idol to był bożyszczce, ciekawe, że słowo to wyszło z mody, jak mi się wydaje, na gwiazdy filmowe przestało się też mówić „bogini”, lub „boska”, „boska Garbo” na przykład, lub „boski Rudolf Valentino”...ale to było jeszcze wcześniej. Etymologicznie „bożyszczce” to inaczej „fetyusz”, przedmiot będący wcieleniem bóstwa posiadający moc magiczną, od francuskiego „fétiche”, a to z kolei rodem z portugalskiego „feitico” czyli „rzeczy sztucznej, czarów”, z łacińskiego „facticus”, „sztuczny”, „kunsztowny” od „factus”, imiesłowu

biernego czasu przeszłego czasownika „facere”, „działać”, „czynić”

[2] Opowiedział (bodaj) do książki Stanisława Beresia "Rozmowy ze Stanisławem Lemem", jak to kiedyś robił zakupy w aptece i pani aptekarka bardzo się ucieszyła, że może poprosić o autograf pisarza, ulubieńca jej małego wnuka...

[3] "To jest delikatna sprawa i nieprzyjemna dla mnie, ale ją wyartykułuję: jeśli założyć, że jestem duchem pierwszej klasy, to powinny się mną zajmować duchy tej samej klasy. Natomiast osoby, które brały się za moją twórczość, zawsze ściągały mnie w dół. Tylko okazywało się to nieco później. Jeśli ktoś się pasjonował Lemem, to zaraz potem okazywało się, że jego frapują przede wszystkim latające talerze, a literatura znajduje się na czwartym planie." (Tako rzeczce LEM..., str. 221)

[4] Moją pierwszą książką Lema był „Obłok Magellana”, wpadłam na nią wertując skrycie stare roczniki „Przekroju”, kolekcję mojej mamy, w poszukiwaniu zdjęć aktorek filmowych, które namiętnie zbierałam i których nie wolno mi było wycinać, ale jednak czasem wycinałam; „Obłok Magellana” był w „Przekroju” drukowany w odcinkach, w od 21 grudnia 1953, tydzień po moich narodzinach, jako książka wydany był bodaj w '56 roku; Lem długo zabraniał potem wznawiania tej powieści, uważał ją za tak złą (przesiąkniętą socrealistyczną ideologią), jednak w końcu w Dziełach Wszystkich wydanych przez Wydawnictwo Literackie ostatnimi laty i ona się znalazła. Ja wtedy, gdy ją czytałam, wpadłam w zachwyt, miałam ok. 11 lat, nie wiem, czy dziś wpadłabym w zachwyt, nigdy jej potem już nie czytałam, choć posiadam to pierwsze wydanie, nie chciałam czytać książki Lema, o której Lem wyrażał się niepochlebnie, a która miała dla mnie tak kluczowe znaczenie: „Wielu swoich książek, takich jak 'Astronauty' czy 'Obłok Magellana' nie lubię w ten sam sposób, co całą masę głupich książek obcych autorów”, powiedział do St. Beresia.

[5] To w Szwajcarii nie uchodzi za jakąś wyszukaną ekstrawagancję, jeśli się chce, można zwłoki psa oddać do kremacji (za odpowiednią zapłatą, rozumie się), dostaje się urnę z certyfikatem, że są tam autentyczne prochy naszego zwierzęcia.

[6] Choćby ostatnio wyszła książka o twórczości Lema pt. „Co to są sepulki. Wszystko o Lemie” Wojciecha Orlińskiego, wyd. Znak, Kraków 2007.

[8] Wydany w zbiorze esejów pod tym samym tytułem, wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1996.

[9] Wywiad-rzeka Stanisława Beresia ze Stanisławem Lemem wydawana była przez Wydawnictwo Literackie w dwóch różnych wersjach, pierwsza, „Rozmowy ze Stanisławem Lemem” w 1987 roku (przed 1989), i druga, znacznie poszerzona i uaktualniona, pt. "Tako rzeczce... LEM", w 2002 roku (po 89).

[10] Agnostos = „nieznany, niepoznawalny”.

[11] Rozróżniamy różne rodzaje ateizmu, wyszczególnienie oraz historia ateizmu a także lista znanych polskich i światowych ateistów.

[12] Andrzej Dominiczak, "Czy agnostycy są ateistami”.

[13] Mój sonet o Odyseuszu:

sonet o O.

*na wyspie naznaczonej zielenią i solą *
zapisanej historią jak kartki zeszytu
pod górą tryskającą do granic błękitu
gdzie zmysły od wrażeń to śmieją się to bolą*

*wśród świątyń starożytnych i współczesnych witryn
w miasteczkach na wpół greckich na wpół katolickich
gdzie śpiewa jeszcze echo handlarzy fenickich
w cieniu drzewek oliwnych i kwitnących cytryn*

*tam gdzie cyklop wyteżał swoje jedno oko
a Gorgona syczała wężami wśród włosów
wylądował podróżny mierzący wysoko*

*co śmierci właśnie dotknął pośród syren głosów
a skórę miał starganą smaganiem scirocco
- i żyje nieśmiertelny wyrokami losu*

* Na zachodnim wybrzeżu Sycylii, o której mowa, jest port Trapani, stolica prowincji o nazwie Trapani. Całe wybrzeże wokół usiane jest kopczykami soli odparowanej z wody morskiej.

[14] Czytałam Marilyn Ferguson "The Aquarian Conspiracy" czy książki Fritjofa Capry "Punkt zwrotny" i "Tao fizyki".

[15] "Tako rzecze LEM... Ze Stanisławem Lemem rozmawia Stanisław Bereś", wydanie z 2002 roku, to poszerzone i uzupełnione wydanie "Rozmów ze Stanisławem Lemem" przeprowadzonych między listopadem 1981 a sierpniem 1982, wydanych najpierw w tłumaczeniu na język niemiecki "Lem über Lem. Gespräche" (wydawnictwo Insel-Suhrkamp), a dopiero potem, w roku 1987, przez Wydawnictwo Literackie. We wstępie pióra Stanisława Beresia do wydania z roku 2002 czytamy: "Na skutek ingerencji cenzorskich wydanie polskie zostało okrojone o rozdział 'Czarna bezwyjściowość sytuacji' oraz okaleczone serią drobniejszych cięć, we fragmentach dotyczących oceny ówczesnych wypadków w kraju. (...) Obecne wydanie 'Rozmów' jest zatem pozycją szczególną, ponieważ jej partie 'historyczne', które w wielu miejscach zachowały zdumiewającą aktualność, zyskują dopełnienie i komentarz w nowych partiach tekstu, przynoszących spojrzenie Lema na zjawisko końca XX i XXI wieku."

[16] Książkę Richarda Dawkinsa, "The Selfish Gene", wydano w 1976 roku, w Polsce pt.: "Samolubny gen" dopiero w 1996 roku.

[17] W tłumaczeniu do polskiego wydania Marka Skonecznego.

[18] Richard Dawkins, "Samolubny gen", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 1996, tł. Marek Skoneczny, str. 266.

[19] Richard Dawkins wyprowadził słowo "mem" z greckiego "mimem", od "mimesis", "naśladownictwo". Jednak chciał mieć analogicznie do słowa "gen" jednosylabowe słowo, stąd "mem", spokrewnione też z angielskim "memory", "pamięć" i francuskim "mème", "taki sam".

[20] R. Dawkins, "Samolubny gen", str. 267

[21] Zaraz też powstała nauka o memach zwana memetyką.

[22] "Tako rzeczce... LEM", str. 231.

[23] ibidem, str. 231

[24] Lem to jeden z najwybitniejszych ludzi jakich Ziemia nosiła w ogóle. Ktoś kiedyś obliczył (pewnie byli to amerykańscy naukowcy?), że w całej historii było ok. 400 geniuszy, ciekawe, czy wliczyli w te rachuby Lema? Jeśli nie, to trzeba by ich stuknąć, bo Lem na pewno też do tej puli należy, tylko że za siódmą górą, za siódmą rzeką i za siedmioma kurtynami (niewiedzy*).

[25] Kiedyś sobie pomyślałam, że to właściwie ciekawe, Polska taki niby zaścianek, a udało jej się parę szczególnych rekordów: pogrzeb JP2 był największym wydarzeniem medialnym świata (ach, te telememy!), umysł Lema niewykluczone, że najpotężniejszym umysłem (przynajmniej pośród umysłów piszących), reportaże Kapuścińskiego - najwnikliwszymi opisami współczesności.

[26] Właściwie można by ustanowić jednostkę literacką 1 lem. I testować książki na ilość zawartości intelektualnej, ładunku fantazji, językowego bogactwa, natężenia zabawowości, napięcia sensacyjności... Powiedzmy, że "Summa technologiae" to 1 lem, poddajmy na ilość "lemów" "Kod Leonarda da Vinci": wciąga (0,16 lema), dość sporo z historii kościoła i sztuki, dość powierzchownie i czasami z błędami (pomijając tezę główną oczywiście), ale jednak czegoś się dowiedzieć można, zwłaszcza jak się tym wcześniej nie zajmowało (0,045 lema), żadnych nowości językowych, chwilami nawet żenada (-0,003 lema), poczucie humoru 0,0 lema, razem ca 1/5 lema za wartości sensacyjno-poznawcze, no, ale to już coś, bo są książki, które oceniłabym na poniżej 0 lema, czyli szkoda czasu, a ludzie jakoś czytają...